

marcin piedzynski

N.Y.C.

W INNYM MIEŚCIE

O tym, że chcę napisać tę opowieść, wiedziałem właściwie już zaraz po przyjeździe stamtąd, czyli w roku 1991. Minęło jednak trochę czasu, zanim udało mi się zrealizować mój zamiar. Tymczasem czasy szybko się zmieniały i opowieść, która napisana być miała jako niemal sensacyjny reportaż psychologiczny (a jeszcze bardziej auto-analityczny) *z całkiem innego świata*, gdy została wreszcie napisana – stała się już czymś innym, niż miała być na początku.

Do dziś od tamtego czasu minęły lata, które – niemal wszystko zmieniły. Świat opisywany w opowieści jako całkowicie nowy i niemal na każdym kroku zaskakujący stał się już od dawna w zasadzie także naszym światem – codziennym i normalnym. Nie dziwi nic.

Dziś „N.Y.C. W innym Mieście" może być więc – zaledwie, a może aż – *najbardziej* materiałem archiwalnym, jako opowieść o tym, że był kiedyś taki czas, gdy jeszcze mogło wydawać się dziwne i niebywałe to, co dzisiaj przyjmowane jest powszechnie jako tak normalne, że aż... nie warto na to w ogóle zwracać uwagi. I jako taka opowieść ta może być też świadectwem, że to co dzisiaj zwyczajne i normalne – nie zawsze *musiało* tak być traktowane: jako zwyczajne i normalne. I że można było patrzeć inaczej i dzięki temu — może *prawdziwiej*... podróżować.

marcin piedrzak

jesień 2023

Jeśli idzie o sam tekst, jest on w zasadzie powtórzeniem tego, co ukazało się drukiem jako wydanie pierwsze (i jedyne – przynajmniej jak dotąd) w roku 2002. Jakkolwiek w kilku miejscach został on jednak poprawiony (choć zapewne pozostał tam jeszcze niejeden błąd nie zauważony; za co Czytelnika z góry przepraszam) lub — ale minimalnie tylko i na pierwszy rzut oka zapewne nieznacznie — zmieniony (lub może tylko *inaczej zapisany*). Nowe natomiast – zdecydowanie i wyraźnie – są tu projekt okładki oraz skład.

What we call “TRUTH”
is basically only a background
for many different stories.
And each story is nothing else
but a story.

Lucas Bass



Union Square Subway Station
New York, NY, 1990–1991

OBUDZONE SNY

Ktoś mógłby wtedy powiedzieć: to chyba sen. Pojechać do Ameryki! – to brzmiało jeszcze niebywale. Lecz naokoło działo się wtedy wiele rzeczy do niedawna jeszcze niebywałych i ponoć niemożliwych. Nawet najbardziej zahukaną lub skorodowaną od przezornego nieużywania wyobraźnię – mogło ruszyć.

Był rok 1990. Otwarto drzwi. Wiał wiatr historii – jak to mówią. Zawiało nas wszystkich od tego przeciągu. Wszyscy byli zawiani. Wielka Amnestia dla Marzeń i Śmiałości. Namnożyło się Pragnień, Pomysłów, Odwagi-bez-Pamięci – że aż! W Polsce od z górą roku każdy, kto tylko chciał, mógł wreszcie mieć swój paszport u siebie w domu. I mówiono o Polsce, że „jesteśmy w końcu w swoim własnym domu". Przedziwny był to dom. Dom, który wobec swoich mieszkańców otwiera w końcu wewnętrzne zamki i można wyjść na zewnątrz. Areszt domowy podczas święta wielkiego odpustu

kar niezawinionych. A za bramą – świat, dotąd najpiękniejszy, bo nieosiągalny, idealny. Tam dokąd wybiegałeś może czasem w marzeniach, tam teraz – mogłeś spróbować pójść naprawdę. Zrobiliśmy to bez zastanowienia, bo byliśmy przecież młodzi – i poniosło nas.

> Marzenie i sen – nie są tym samym, wbrew pozorom. Marzenie to igraszka ducha – wolnego i świadomego swej wolności, sen natomiast to wprawdzie też igraszka, ale innego rodzaju: to igraszka, dla której duch nie jest już podmiotem, lecz – przedmiotem. Półświadomy, półwolny, konstatujący swoją przedmiotowość duch – oto, czym bawią się sny. To że i w marzeniu i we śnie wszystko jest możliwe, nie musi od razu świadczyć o bliskim powinowactwie jednego z drugim. W przypadku marzenia jego dowolność jest zależna i podporządkowana człowiekowi, który marzy, podczas gdy we śnie człowiek śniący jest nieledwie jedynie tworzywem snu, a nie jego autorem. O ile marzenie tworzy sam człowiek, o tyle sny – tylko mu się przydarzają.
>
> *Man's Dream or Dream's Man?*
> New York 1990

Dzień był upalny i bezwietrzny. Pod amerykańskim konsulatem stał tłum. Niecierpliwa masa zmuszona do cierpliwości – tłum wyczekiwał. Ponad głowami odważnych, lub jedynie pijanych nadzieją, wisiał sztandar – ten gwiaździsty. Nie, nic z tych amerykańskich filmów – sztandar po prostu zwisał, wcale nie łopotał na wietrze, choć tak może by i było piękniej. Zwisał w słońcu dokładnie tak samo omdlały, jak sąsiadująca z nim – nad bramą obok – flaga państwowa Niemieckiej Republiki Demokratycznej (było wtedy jeszcze takie państwo).

Dziwny to był tłum i dziwna manifestacja – manifestacja nadziei pojedynczej, nie kolektywnej. Każdemu w tym tłumie chodziło przecież tylko o siebie: dostać się Tam, niech mi się uda, mi jednemu.

Podeszliśmy do tłumu i stanęli z brzegu: że niby nas ten tłum wcale nie dotyczy.

– No to się chłopaki wystroiły, no-no … – powiedział Piter patrząc na oczekujących. – W takim stroju do konsula – kto to widział?

Tłum rzeczywiście dziwnie się poubierał, jak na wizytę u Najwyższego Urzędnika, u Biletera przy Bramie do Raju: wśród oczekujących przygniatająca część petentów pooblekała swe spragnione wyjazdu ciała w koszulki z mającymi zapewne powiedzieć wszystko nadrukami: CHICAGO, NEW YORK CITY, albo po prostu i *ogólnie*, krótko i na temat: U.S.A. Mężczyźni i kobiety, dziewczyny i chłopcy – bez względu na wiek i płeć – wszyscy tak wymownie *obkoszulkowani*.

– Zresztą, cholera wie: może w tym jest jakaś metoda… – pojawiły się wątpliwości. Poprawiłem niesforny krawat, pocąc się chyba jednak za bardzo nawet jak na taki upał w moim maturalno-studenckim garniturze.

Zebrani obrzucili nas spojrzeniami pełnymi politowania, czy nawet wzgardy: frajerzy, do komunii się wybierają czy jak?

– To się jeszcze okaże. – To Piter, próbował pocieszać i podnosić na duchu. Chyba tak samo jak ja pocił się w swoim garniturze. – Zobaczymy…

No i zobaczyliśmy. Ale nie można powiedzieć, że się okazało, co miało się okazać. Po pół godzinie dostaliśmy to, czego chcieliśmy: w paszportach wbili nam wizy i nic od tej chwili nas już nie interesowało. Mogliśmy wreszcie zrzucić z siebie nasze garnitury – kolejny egzamin „do przodu" – i pójść sobie. A tamci wszyscy pozostali, w swoich trykotach – uda się czy się nie uda? Co nas to obchodzi, nie nasza rzecz. Nam się udało. I tylko to było ważne. Czort z nimi.

Oto jak zaczął się wielki sen – *American Dream*.

Sen w swojej charakterystyce jest paradoksalny. Mimo że jest czymś nieprzewidywalnym dla człowieka, który jest zawsze w środku owej nieprzewidywalności, jest on dla tego człowieka zarazem czymś bezpiecznym. Oczywiście, o ile sen pozostaje sobą. To, co powszechnie nazywa się koszmarami sennymi nie jest bowiem snem sensu stricto. Jest to raczej sen zwyrodniały, nieprawnie wkraczający w dziedzinę rzeczywistości. Koszmar senny zatem to *szalbierstwo metafizyczne* i to szalbierstwo nieprzyjemne dla oszukanego człowieka. Zdarzają się również podobne

szalbierstwa przyjemne – jednakowoż w obu przypadkach, co trzeba wyraźnie sobie uświadomić, nie mamy do czynienia ze snem sensu stricto.

W przypadku snu sensu stricto człowiek śni zawsze na swój własny temat, ale równocześnie w paradoksalnej perspektywie swojej jakby nieobecności. Sen dzieje się samoistnie, a człowiek jest tylko jego racją bytu tak jak niemy i zasadniczo nie mający wpływu na to, co zobaczy, widz jest racją zaistnienia widowiska, z tą tylko różnicą, że sen jest *widowiskiem* zarazem dla gapiącego się i o gapiącym się. A jednak widz-bohater jest bezpieczny. Bezpieczeństwo to ma swoją cenę – można ją nazwać *metafizyczną* – a jest nią mianowicie to, że sen jako taki nie jest ani przyjemny ani nieprzyjemny.

Sen to przede wszystkim czyste oglądanie, omalże bezrozumne oglądactwo, oczyszczone z zainteresowania gapienie się na film o samym sobie, którym równocześnie jakby się nie jest – często w śnie zdarza się nawet świadomość, że śnimy i że nic nie jest naprawdę – film, w którym wszystko jest do tego stopnia możliwe, że aż nieprzewidywalne, nie jest w stanie widza ani zdziwić ani zaskoczyć, a co za tym idzie – nie jest w stanie go także przestraszyć.

Przypadki doznawania podczas snu rozkoszy lub przestrachu – o czym już wyżej wspomniano – wskazują na to, że mamy tu do czynienia nie ze snem *sensu stricto*, lecz z fenomenami z „szarej strefy", gdzieś pomiędzy snem i jawą. To właśnie ona, owa „szara strefa" tak bardzo i od tak dawna intryguje człowieka i być może nigdy nie przestanie go intrygować. Modna obecnie psychoanaliza, uprawiana z mniejszą lub większą rzetelnością, nie pierwsza bynajmniej próbuje rozwikłać tajemnicę owej „szarej strefy", i równocześnie nie ona pierwsza daje odpowiedź niepełną.

Należy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że owa interesująca „szara strefa" nie jest snem właściwym [...]

Phenomenon of Dream.
Being beyond Questions and Fear
New York 1990

Było nas czterech. Czterech studentów filozofii na urlopie dziekańskim, którzy ruszyli w świat, jaki im się nigdy nawet nie przyśnił. A właściwie pięciu. Tym piątym stał się – o czym dowiedzieliśmy się za pięć dwunasta – Krzysiek. Że to jakiś tam kolega kolegi, że fajny chłop, i że jego też mamy podczepić pod darowany nam przez życzliwych pomysł na dostanie wizy. Sam Krzysiek również w ostatniej chwili dowiedział się, od tych samych życzliwych, że może i że powinien jechać do Stanów – z nami.

Jako pierwsi polecieli Artur i Krzysiek – nie ten w ostatniej chwili wciągnięty na listę pasażerów, ale jeden z nas czterech. Polecieli i już ich nie było. Drugi Krzysiek – nazywajmy go dla odróżnienia Krzychem – też gdzieś przepadł. Miał swoje sprawy i powiedział, że przyleci do nas „w swoim czasie". Zostało nas dwóch – Piter i ja, jako drugi rzut. Na razie czekaliśmy. Jeszcze w Polsce, ale już z biletami w kieszeni, jeszcze wśród starych znajomych i w starym znajomym świecie, ale już z listem stamtąd, zaświadczającym, że istnieje Nowy Świat i że tam na nas czekają. Kończył się wrzesień i nie tylko.

***

Wyjeżdżaliśmy dobrze po zmierzchu. Do pociągu odprowadziło nas kilku starych znajomych, żaden tam orszak pożegnalny. Bez pompy i orkiestry, cichutko pośród ciemnej październikowej nocy wymykaliśmy się jakby chyłkiem z miasta naszej młodości. Plecy uginały się pod ciężarem plecaków, ale jeszcze bardziej ciążyło to milczenie.

Wyruszając w drogę, ściskając dłonie tych, którzy do wyjścia odprowadzili nas tak daleko jak tylko mogli – a którzy po tej nocy obudzą się tutaj do dnia następnego, podczas gdy my będziemy podążać gdzieś tam, przez nie wiadomo jak długi szereg dni pierwszych – cóż można było powiedzieć? Nic na temat, bo temat był milczeniem. Ciemność nocy na zewnątrz była niczym odbicie milczenia, które było w nas.

– Przywieź mi *stamtąd* butelkę „Calvadosu". No wiesz, taką jak u Remarque'a w „Łuku triumfalnym".

Odskok w przestrzeń literatury, inną od przestrzeni aktualnej teraźniejszości. Może to i najbardziej udana z nieudolnych prób rozwiązania. Wobec ciemności tego, co w środku

i na zewnątrz, gdy my wstępowaliśmy nieśpiesznie – a nawet z pewnym ociąganiem – w trudną do wyobrażenia nietutejszą przyszłość, a nasi tutejsi i już jakby wczorajsi znajomi pozostawali na miejscu, rozsądnym kompromisem w imię wspólnej walki z wdzierającym się pomiędzy nas milczeniem był właśnie ten unik: wspólny skok do świata fikcji literackiej, do świata, który wszyscy kiedyś przeczytaliśmy. Przez chwilę wydawało się, że oto trudna realność chwili aktualnej została zażegnana.

– Dobra, nie ma sprawy, postaram się o tym pamiętać.

I już trzeba było wsiadać. I jechać.

***

Zaparłem się w chwili, jakby tylko ona trwała odwiecznie i bez końca. Była wtedy jeszcze ze mną Ona, Ta, która wstrzymywała czas. Koła pociągu turkotały w ciemnej nocy. – Czas jest miarą ruchu względem tego co przedtem i potem – zachichotała mi prosto w duszę definicja Filozofa. Niby nic się nie działo a jednak: czas niepostrzeżenie przesmyknął się przez nieruchomą prawie, gęstą ciemność nocy i wydarzył się poranek. Na światło dzienne wyszła cała prawda: to nasz ostatni wspólny dzień, przed długą, długą przerwą. Próbowaliśmy ukryć się przed jej oślepiającym blaskiem, dość nieudolnie i śmiesznie: nie mówiliśmy ani słowa o wyjeździe, tylko – o powrocie. „Wrócisz?" – „Na pewno wrócę".

Na peron wtoczył się pociąg. Wielki, z żelaza i stali, kołowy lodołamacz naszej nierychliwej, niewyrywnej wyobraźni: zbierajcie się! Gwar i tłok zaczął wnikać do jego wnętrza. Przed machiną, na peronie pozostało niewielu – wśród nich Ona, teraz już kompletnie bezsilna wobec czasu. Kiedy przepychaliśmy się przez zatłoczone korytarze w poszukiwaniu miejsc siedzących – pociąg ruszył! I powoli – ale zawsze zbyt prędko – rozjechało się: peron cofał się do tyłu, razem z Nią, która pozostała. Ruszyła machina losu.

... przez najzwyklejszy opór materii moich przypadkowych współpasażerów, wśród których utkwiłem niewygodnie i jak najbardziej pospolicie, nie mogłem nawet dopaść do okna (jak to robią na filmach „do płakania"), nie mogłem pomachać do Niej w – jak to się mówi – wiele mówiącym milczeniu, podczas gdy Ona w równie wymowny sposób mil-

czałaby na odpływającym w przeszłość peronie, ocierając łzy i – jak to też się mawia – czując podniosłość chwili.

Gdy gramoliliśmy się z trudem po stopniach wagonu, Ona stała z miną zdziwioną aż głupią, a to co stało się później, było jedynie beznadziejnie zwykłym rozjechaniem się, na którym poezja wcale nic nie skorzystała.

– Ale jaja! No, to – jedziemy – odezwał się Piter.

(Coś jednak trzeba było powiedzieć. W takiej chwili.)

„Ameryka" – słowo to zachwiało się we mnie i upadło w pustkę. Uchodziło z niego życie, kropla po kropli, z każdą chwilą coraz mniej było w nim tego znaczenia, jakie dotychczas w nim widziałem, a nowe, uaktualnione, miało się tam dopiero pojawić. Lecz jeszcze nie teraz. Słowo opustoszało, i znowu było tylko pustym dźwiękiem, którym czarownik chce zakląć świat i uspokoić samego siebie w tym świecie.

To nie był zwykły pociąg. To był pociąg ostatni. Był 2 października 1990; według poczynionych wcześniej i znanych już powszechnie planów, Niemieckiej Republice Demokratycznej zostało wtedy zaledwie kilkanaście godzin życia, uroczystości pośmiertne miały być świętem radosnym i ustalono je na godzinę dwunastą w nocy. Od następnego dnia Niemcy miały znowu, po latach zimnej wojny a potem oziębłego pokoju, stać się na powrót jednością: *ein Reich, ein Volk*... Oto nadchodził dla nich dzień, który tak długo był niemożliwy. To, co wyglądało jak sen – działo się naprawdę. Jedni cieszyli się, inni – mniej. A my w tym śnie znaleźliśmy się, przez zupełny przypadek – bo po drodze jedynie.

Granica. Most kolejowy na Odrze. Na jednym jego końcu znudzony żołnierz pod słupkiem z białym orłem w czerwonym polu, a po tamtej stronie... nie było żadnego kraju: ogołocony słup graniczny, żadnego godła, żadnego obrońcy granic, ziemia niczyja, ziemia do wzięcia.

Na dworcu w Berlinie rozgardiasz dnia ostatniego. Poza dworcem – podobnie. Przechodziliśmy przez dzień ostatni, po którym miał przyjść dzień pierwszy.

Ci, dla których był to jedynie dzień ostatni, biegali gorączkowo wte i wewte, w pośpiechu załatwiając do końca swoje sprawy. Byli to głównie Polacy, dotychczas korzystający z cudownie dla nich rozdwojonej natury Niemiec; formalnie był

to dla nich jeszcze kraj bezwizowy, w którym jednak zupełnie oficjalnie obowiązywała marka zachodnioniemiecka. Teraz zbliżał się kres, szybko dokańczali swoje sprawy polscy detaliści handlu międzynarodowego. Pili sporo. Jutro – koniec.

Niemcy, dla których ten niecodzienny dzień był zaledwie dniem poprzedzającym dzień pierwszy, z przymrużeniem oka patrzyli na krzątających się tu jeszcze Polaków, uganiających się za ostatnią szansą zdobycia jakichś drobnych. I czekali – spokojni i pewni swego – na największy interes swego życia. Nie jakiś tam drobniutki geszefcik, o nie: bez ruszania się z miejsca wkroczyć mieli niebawem w przyszłość, do raju utraconego – wszyscy razem, cały naród. Podpijali z tej okazji. Jutro – dopiero zacznie się życie.

Tu działa się Historia. Lecz nie tak, jak to opisują dbający o zwiększenie nakładu i coraz większą poczytność dziennikarze; zła przeszłość nie waliła się z hukiem w gruzy, lecz po prostu rozpływała się. W sennej atmosferze, w biały dzień, zwyczajnie i dziwnie zarazem.

Kiedy oddaliśmy już swoje bagaże na lotnisku Tegel, skąd następnego dnia odlecieć mieliśmy do Londynu a dalej za ocean, zostało nam jeszcze całe popołudnie i wieczór – kupa czasu, z którym nie wiadomo było co zrobić. A coś zrobić wypadało. Zawróciliśmy więc do tego, przez co przed chwilą jedynie przejeżdżaliśmy. Poszliśmy ku Historii, którą przed chwilą obserwowaliśmy jedynie zza szyb wiozącego nas na lotnisko autobusu.

Dojechaliśmy do Statuy Zwycięstwa, jeszcze w Berlinie Zachodnim, wmieszaliśmy się w tłum i powoli, spacerkiem podążyliśmy w kierunku Bramy Brandenburskiej. Noc była upojna i hałaśliwa, żółto-czerwono-czarna i pijana. Na ulicach miasta Historia rozścieliła swoje wonności: dziwny gaz paraliżująco-rozweselający. Somnambulicy na gapę, stanęliśmy pod Bramą, do której Historia XX wieku ma wyraźną słabość. Oto znowu była to brama, tak jak niegdyś, zanim Historia nie zaklęła jej w jedną z cegieł historycznego muru, by teraz znowu ją odczarować jak śpiącą królewnę. I my piliśmy tam piwo, przyglądając się ekstatycznym pląsom Niemców i bawiąc się rozróżnianiem tych z Zachodu od tych ze Wschodu.

– Ty, a dlaczego jej tam nie ma?

– Co?

– No, kwadrygi przecież. W czterdziestym piątym tu stała.

– Co za niedopatrzenie…

Na te słowa – świszczące, słowiańskie – zmartwychwstał jeden taki, ofiara losu, rządów Honeckera i zbyt dużej ilości trunku, na pierwszy rzut oka wyraźnie młodszy od muru berlińskiego, lecz ogólnie w podobnym do niego stanie. Uwalony. Coś do nas zaczął bełkotać, po pijaku i po niemiecku – nie zrozumieliśmy ani słowa. Pojęliśmy z jego zachowania jednak tyle, że to, co go tak cudownie wyniosło ponad poziom alkoholowej niemocy, to była chyba duma narodowa, albo coś co miało nią być. I stanęła przed nami przeszłość w pierwszym dniu przyszłości…

A dwa kroki od tego – inny świat. I to ten przyszedł nam z ratunkiem. Do trabanta, spod którego podniósł się ku nam ten późny mściciel Grunwaldu czy Bóg jedyny wie czego, podeszła trójka nowych Niemców, dwóch chłopaków i dziewczyna, wszyscy objęci, dziewczyna w środku. Urodzeni też po wybudowaniu muru berlińskiego, tyle tylko że po drugiej jego stronie – roześmiani, piękni, młodzi, twarze pomalowane w niemieckie barwy narodowe. Nie były to jednak barwy wojenne. Oni nie przyszli tu przecież wojować, lecz po to, by oczy nasycić widokiem ziemi, która pokojowo przyłączana jest do *ich* kraju. Z tego, co mówili między sobą, znowu nic nie zrozumieliśmy. Po chwili jednak biedny *Ossi* znów siadł pod trabantem i znowu go nie było. Głowa opadła mu między kolana, a naokoło grzmiały petardy, rozlegały się śpiewy radości i trzask kolejnych otwieranych puszek z piwem.

– On śpi, a tu Niemcy mu się jednoczą.

Czas już wracać do swoich spraw, nic tu po nas. Wsiedliśmy do autobusu, który spod bramy niemieckiej jedności, nad którą brakło dziś kwadrygi, odwozi tych, którzy byli tu i zobaczyli – aby dalej nieść dobrą nowinę. Wśród tych wszystkich szczęśliwych piwem i historią niemieckich ewangelistów znowu byliśmy pasażerami na gapę. Piter wyciągnął drobne, by uiścić należność za przejazd:

– Zwei nach Tegel, bitte… – (Tak to jest chyba po niemiecku, nie?).

Rozpromieniony kierowca (jego też wzięło) tylko macha na to ręką: – O'kay. Wir-alle-sind-Deutschen!

– Ja… ja – mówi (po jakiemu?) Piter, pakując z powrotem do kieszeni cudownie nie wydane pieniądze.

***

Zjednoczone Niemcy nie na długo darowały Piterowi te kilka marek. Lotnisko, w hallu którego spędzaliśmy noc – śpiąc udawanym, nieprawdziwym snem – właśnie przestało być częścią dziwnego Berlina Zachodniego, enklawy zachodnioniemieckiej, do której Polacy mogli jednak wjeżdżać bez wiz – stało się w pełni częścią Republiki Federalnej Niemiec, od teraz jednego i jedynego państwa niemieckiego. Do którego Polacy bez wiz wjeżdżać jeszcze nie mogli. A my, po tej nocy zmian, nadal byliśmy Polakami – tak jak wczoraj i przedwczoraj. Co mi wydało się tylko częścią prowizorycznego i niewygodnego snu, okazało się jednak faktem – o czym poinformował mnie rano, po przebudzeniu, bardziej wtedy przytomny Piter: ten niemiecki policjant naprawdę tu był, naprawdę oglądał nasze paszporty, i teraz my naprawdę mieliśmy pójść w naszej sprawie na tutejszy komisariat, bo była tam rzeczywiście jakaś nasza sprawa.

Policjant był bardzo grzeczny. Poinformował nas uprzejmie, że od kilku godzin nie istnieje już takie państwo niemieckie, do którego mamy wjazd bezwizowy i że w związku z tym bez dopełnienia formalności wizowych nie mamy prawa przebywać tu, gdzie de facto właśnie przebywamy. Nie, o żadnej zwykłej deportacji oczywiście mowy być nie mogło (sytuacja przecież była jednak niezwyczajna), musieliśmy jedynie wykupić dla siebie wizę tranzytową – czyli zabulić myto.

Nasz samolot odchodził za niecałe pół godziny, wiz tranzytowych na tak krótki czas przepisy nie przewidywały. I tak oto pierwszego dnia istnienia zjednoczonych Niemiec wbito nam do paszportów wizy uprawniające nas do oglądania tego wielkiego kraju przez… cztery godziny, i to też tylko przejazdem. Cała ceremonia trwała pięć minut i kosztowała nas dwa razy po siedem zachodnio… – o, przepraszam – niemieckich marek. Cóż, idź złoto do złota.

Kiedy już te przyziemne formalności mieliśmy za sobą, mogliśmy wreszcie wstąpić w chmury. I nastąpiło nasze pierwsze wniebowzięcie.

Wzbiliśmy się ponad Niemcy, ponad Europę, a potem nawet ponad chmury same. Rozpościerały się one pod nami, od horyzontu do horyzontu, i wyglądały jak morze za-

marznięte podczas sztormu – jeśli w ogóle można tu było mówić o horyzoncie i o morzu, które nieruchomieje w trakcie największego sztormu. Ziemi nie było – taki odlot.

Wkrótce samolot wylądował – na chwilę. Z samolotu wyssała pasażerów tuba przystawiona do jego boku. Następnie szliśmy korytarzami. Następnie nie byliśmy terrorystami. Wreszcie poproszono nas do innej tuby, na końcu której przerwano nasze bilety i wskazano nam miejsca, na których mieliśmy spocząć – aż do Ameryki. Ponownie poderwaliśmy się do lotu.

Ponoć to była Anglia – możliwe.

Za chwilę ponownie byliśmy w niebie, w słonecznym błękicie, bez ziemi, bez żadnego punktu odniesienia – zawieszeni nieruchomo w niebieskiej próżni.

Puszczono film. Dla zabicia poczucia czasu i dla zmniejszenia – by tak rzec – egzystencjalnej niewygody zawieszonych w próżni. Coś lekkiego. W wielkim skrócie: facet mieszkał w Niemczech Zachodnich i zawodowo trudnił się odpłatnym przemycaniem do swego kraju Niemców ze strefy wschodniej. Przy robocie zdarzył mu się wypadek – zakochał się w swojej klientce, z wzajemnością zresztą. Problem: tam, gdzie miał ją przemycić, i gdzie byliby oboje wolni i mogli szczęśliwie i „po ludzku" żyć, facet miał już żonę – cóż więc miał zrobić? W końcu jednak zdecydował się: przeszmuglował ukochaną do kraju swojej żony. Przeszmuglował ją nie ukrytą gdzieś pod gaźnikiem swojego samochodu, lecz pod fałszywym paszportem. A granicę przekraczali… – o rany!, przecież to Helmstedt!

Dokładnie tam, na tym samym przejściu ja sam przed rokiem opuszczałem – nie bez przygód – NRD, w mojej pierwszej podróży na Zachód, autostopem do Holandii (mój paszport nie był wtedy fałszywy, choć muszę przyznać, że dla mnie samego jeszcze cały czas podejrzanie realny). Toż to ja sam widziałem to wszystko, na własne oczy: te zaorane pola przed granicą, druty kolczaste, nawet coś jakby zapory przeciwczołgowe, i tych wszystkich genetycznie zalęknionych enerdowców, wreszcie ja sam na własnej skórze odczułem tę ulgę, z jaką patrzy się na Helmstedt, gdy jest się już po drugiej stronie.

Musiałem coś zrobić – tak przynajmniej mi się zdawało. Kiwnąłem na Pitera (nie mieliśmy miejsc obok siebie) – pojął wszystko w lot, on przecież także był tam wtedy. Ale to za

mało, musiałem jeszcze komuś o tym opowiedzieć. Obok mnie siedział jakiś starszy jegomość.

– I was there. – Zacząłem swoją długą opowieść. To Helmstedt, granica między Wschodem i Zachodem. W zeszłym roku, jadąc do Holandii ja sam…

– This is not existing anymore. – Starszy gość jakby nie chciał słuchać mojej opowieści.

Chociaż nie, on mnie jednak nie zbywał, on jedynie uprzejmie informował o całkiem niedawnych zmianach (bo może nie wiem, co się stało). Zupełnie jak ten policjant na Tegel. No tak, ten tutaj to też Niemiec. Wywiązała się miła pogawędka. Powiedział mi, że do Stanów leci na urlop, ma tam kogoś bliskiego. A ja mu na to, że ja do Stanów jadę zarobić pieniądze, których nie można zarobić w Polsce, że nie mam tam nikogo bliskiego, że jadę na niepewne, że teraz jestem już bez odwrotu, bo zadłużyłem się na ten wyjazd po uszy. Że jeśli miało by mi się nie udać…

– O doprawdy? Życzę więc powodzenia.

I znowu słuchałem z udawanym jedynie zainteresowaniem o jego żonie, o dzieciach, o wnukach; że ma i takie tam. I tak dalej i tak dalej, aż na koniec dziadek zsunął się w drzemkę.

Poszedłem do Pitera.

– Ile godzin już tak wisimy w powietrzu?

Piter poprosił o dwa piwa, stewardessa podała z uśmiechem na twarzy.

– Piwo jest tu za darmo, wliczone w cenę biletu – Piter nie tracił przytomności umysłu. – Jeśli go nie pijemy, to tak jakbyśmy tu zostawiali swoje pieniądze.

Więc teraz z kolei ja zamówiłem dla nas dwie puszki, potem znowu Piter, potem znowu ja. Przy którejś z kolei zmianie już nikogo nie prosiliśmy – po co fatygować? – tylko sami szliśmy gdzie trzeba i po co trzeba. Do ostatniej kropli. Nie upiliśmy się jednak, zachowaliśmy trzeźwość myślenia i świadomość wciąż trzymaliśmy twardo na wodzy: nie myśleć o niczym, nie zastanawiać się nad niczym, bo i po co. Od teraz i tak stanie się to, co ma się stać. Dwóch Kubusiów Fatalistów, którzy sprowokowali Los.

W końcu ściągnęli nas na ziemię. Wylądowaliśmy.

– No, to – jesteśmy na miejscu.

I już.

***

Zanim jednak definitywnie wkroczyliśmy do Ameryki, musieliśmy jeszcze odpowiedzieć na kilka pytań urzędników z Immigration Office. „To zwykła formalność, nie macie się czego bać" – zapewniali nas w liście Artur z Krzyśkiem, którzy mieli to już za sobą – „Jak spytają w jakim celu? – turystycznie. Co macie w plecakach? – tylko rzeczy osobiste i drobne upominki (warte nie więcej niż 10 $) dla znajomych. A gdzie zamierzacie się zatrzymać w Nowym Jorku? – tu przesyłamy wam adres, który macie wtedy podać. O nic więcej pytać nie powinni". Faktycznie, mieli rację: zwykła formalność, bez wyrazu i dramaturgii, nie mająca nic wspólnego z tym, czego od kandydatów do raju wymagano w konsulacie w Krakowie. Krótko i bez komplikacji. Kiedy egzotycznie czarna i egzotycznie tutejsza urzędniczka zapytała świeżo przybyłych na Marsa, gdzie dokładnie zamierzają się zatrzymać – znaliśmy odzew.

I przeszliśmy przez drzwi.

Na progu Ameryki powitali nas i przejęli znajomi znajomych. Pod ich przewodnictwem ruszyliśmy na spotkanie konkretu – z pustym słowem „Ameryka" w głowie, gotowi na wypełnienie. Autobus, Coca Cola, autostrada, miasto, potem tunel. Wysiadka. Kolorowi ludzie i kolorowe sklepy, potem znowu tunel...

– Macie, to są *tokeny*. No, żetony. Na *sabłej*. No, metro...

Po kamiennych schodach w dół, krok za krokiem. Potem tokena do dziurki, automatyczny cerber łyka przysmak i popuszcza zacisk swoich metalowych łap: „wchodzący tutaj..." Usłyszałem na plecach ciche kłapnięcie: token zjedzony, cerber znowu głodny i sztywny. Następny rzuca mu magiczny krążek i machina znowu mięknie. I tak dalej, jeden za drugim. Wtem obok nas, karmiących bestyjkę tak jak to nakazuje prawo, przeskakuje ponad nią czereda młodzieniaszków nieuroczych w czapkach na odwrót – stali bywalcy piekieł – po czym nikną nam z oczu w wagoniku kolejki. Cerber nie protestuje. Facet, który naprzeciwko tej maszynki odźwiernego łapownika siedzi sobie w budce sprzedając tokeny praworządnym pasażerom, też jakby nie zwrócił na to uwagi.

– To *portorykosi*. *Skipują sabłej*. A facet w *tokeniarni* nie wyjdzie przecież; tam, gdzie siedzi, jest bezpieczny, zaryglo-

wany od środka, za kuloodporną szybą. Robi swoje i ani myśli nadstawiać dupy, bo i po co. To już nie jego biznes. Za to płacą policji.

– O, to nasz. Wsiadamy.

Jedziemy kilka stacji, wysiadamy. Po kamiennych schodach w górę, krok za krokiem, na powierzchnię.

– To jest Brooklyn. Tu na razie mieszkacie. Artur i Krzysiek wrócili już chyba z pracy, czekają na was na górze.

Ulica zalana słońcem. I zasypana śmieciami, na ogół zapakowanymi w czarne foliowe worki rzucane pod ściany budynków na wielką kupę tego, czego Nowy Jork już nie potrzebuje. Tu i ówdzie walają się śmieci w detalu. Nie widać stąd ani Statuy Wolności ani drapaczy chmur. Za naszymi przewodnikami dochodzimy do domu, w którym „na razie się zatrzymacie". Sześciopiętrowa ceglana kamienica – najwyższa w okolicy. Brama wejściowa do klatki schodowej cofnięta nieco, pomiędzy dwoma kolumnami zwieńczonymi trójkątnym tympanonem. Drzwi przeszklone. Wszystko zapewne piękne – może pięćdziesiąt lat temu. Na bramie sprayem nabazgrany numer: 156. Podstawy kolumn ukryte pod stertą czarnych foliowych worków. Znaczy, że jest tu życie, bo jest przemiana materii. Osiągamy szczyty – szóste piętro, ostatnie, na piechotę – nie ma tu żadnej windy, krok za krokiem, pomiędzy śniadymi i umorusanymi berbeciami paplającymi po hiszpańsku.

Krzysiek i Artur faktycznie już po pracy. Witają nas od progu i prowadzą na pokoje. W środku jacyś ludzie, znajomi znajomych czyli nieznajomi. Cały ten nowojorski *apartment* to pasaż sypialno-mieszkaniowy: pokoik, przechodni przedpokój, potem przechodnia kuchnia, potem następny przechodni pokój, a za nim jeszcze jeden – z wyjściem na schody przeciwpożarowe czyli na nowojorski „balkon i drabinę w jednym". Łazienka nieprzechodnia. Wystrój wnętrz w stylu eklektyczno-zbierackim. „Tu wszystko można znaleźć na ulicy, używane, ale jeszcze można pouzywać: materac, radio, szafkę, telewizor" (o pieniądzach – ani słowa). Siadamy na materacu, używanym.

– Chcecie?, macie. Piwo. Heineken, taki jak w Holandii...

– O, a tam, za oknem, widzicie?, to Empire State Building... – (niby nie tak znowu daleko stąd)

– Sorry, że nie mogliśmy po was wyjechać na lotnisko, ale byliśmy w robocie. Harówa, ale trzy i pół stówy na tydzień jest…

– Jak podróż? – (słaby znak zapytania).

– Widzieliśmy, jak jednoczyli się Niemcy… – (niepewnie).

Dopiero teraz czuję, jaki jestem zmęczony. Czyżby to miało znaczyć, że w końcu jestem w domu? Zmęczenie nasila się, oczy same zamykają się nad zielonym szkłem powitalnego Heinekena. A za oknem – słoneczny dzień; jak w środku sierpnia, choć przecież oni tutaj też mają teraz październik. Jesień – ale już nie ta polska.

– Którą macie godzinę? – pytam.

– Po czwartej.

Spoglądam na nadgarstek.

– A u mnie dziesiąta. – (rano czy wieczorem?).

– O, masz jeszcze, bracie, stary czas.

(Oto zaczyna się dla mnie czas zupełnie nowy).

– ŁEL-KOM-TU-NJU-JORK.

Czy to już kres?

Potrzebuję snu. Dużo snu.

Pierwszorzędnym – normalnym – układem odniesienia dla naszego życia oraz jego rozumienia jest jawa – a nie sen. Jesteśmy ludźmi z tego świata, jesteśmy ludźmi rzeczywiście. *Przeżycia* czy też *doświadczenia* senne w tej perspektywie jawią się jako pewna propozycja *nie-rzeczywista*, *nie-prawdziwa*, *metafizycznie niezobowiązująca*. Równocześnie jednak rzadko kto skłonny jest rezygnować z pokusy dokonania jakiegoś *sensownego* sprzężenia ze sobą wymiarów rzeczywistego i sennego. Być może wynika to z przekonania o jednolitości wszelkich przejawów świadomości żyjącej. Zwiastunem takiego „joint venture" jest pytanie o wspólny sens snu i rzeczywistości, popychające ku poszukiwaniu pewnego wzajemnie zależnego sensu *tego wszystkiego*.

Pytanie o wspólny sens łączący sen oraz jawę zakłada zazwyczaj podporządkowanie snu rzeczywistości i to założenie ukierunkowuje całe dalsze badania czy domysły: w jaki sposób sny przewidują pewne wydarzenia lub wyjaśniają już zaszłe wypadki ze świata rzeczywistego? –

metodą zagadek i swoistych rebusów, ale jaki jest klucz do zrozumienia ich sensu? W tym paradygmacie mieszczą się praktyki zarówno starodawnych senników jak i współczesnej całkiem psychoanalizy.

Lecz badanie ewentualnego związku pomiędzy snem i jawą przybrać może także kierunek zgoła przeciwny; można mianowicie zastanawiać się nad tym, co odróżnia sen od rzeczywistości i co równocześnie sprawia, że człowiek dziejącą się faktycznie rzeczywistość skłonny jest traktować raczej jako sen jedynie. Otóż dzieje się tak zazwyczaj wówczas, gdy owa rzeczywistość jest dla niego – ponad siły. W takiej sytuacji psychologicznej *poczucie snu na jawie*, czyli niejako *usennienie* samego siebie jest spektakularną ucieczką, kapitulacją świadomości wobec doskwierającej, trudnej do pojęcia rzeczywistości. Powoduje to zneutralizowanie niepewności i wyciszenie napięcia – w śnie wszakże nie ma dla nich miejsca! Sen bowiem – nawet najbardziej niesamowity – nie wzbudza u śniącego strachu ani trwogi, na które narażony jest on na jawie.

The Real Changes
and the Consciousness Self-Defense
New York 1990

NA RAZIE

Kiedy się w końcu obudziłem – byłem naprawdę w Mieście. o nie wiedziałem nic. Kolory, zapachy, upał – wszystko dziwnie bez znaczenia. „Od razu, jak tylko tam się znajdziesz, zaraz napisz: co i jak i w ogóle" – powiedzieli mi ci, którzy pozostawali, a ja im na to: „Oczywiście, od razu..." Nie wiedziałem wtedy, że proszą mnie o zbyt wiele i nie wiedziałem, że obiecuję im – zbyt pochopnie – zbyt wiele. „Nie może mi się to wszystko pomieścić w głowie – na razie." – tak powinien brzmieć cały pierwszy list, tyle i ani słowa więcej. Ale komu by to wystarczyło?

Po przyjęciu – trzeba wyjść.

– Załatwiliśmy już mieszkanie. Jutro się przeprowadzamy.

Póki do nich nie dołączyliśmy, Krzysiek i Artur pomieszkiwali kątem u znajomych znajomych w ceglanej kamienicy: „Na razie, potem coś sobie znajdziecie – kiedy tamci przy-

jadą". No i znaleźli. W jaki sposób – nie pytaliśmy. Przyjechaliśmy na gotowe.

W ogóle – o mało co pytaliśmy.

W wieczór poprzedzający przeprowadzkę, kiedy już leżeliśmy w gęstniejącym mroku, oczekując miłosiernego snu, Artur, z którym na razie spać miałem na jednym materacu, zapytał:

– Cieszysz się, że już jutro jedziemy do *naszego mieszkanka*?

Z jaką czułością wypowiedział to zdanie! Szczególnie ostatnie dwa słowa. Było w nich na pewno więcej niż to, co przyznaje im zwykły słownik. A ja na to – nic nie powiedziałem, coś tylko mruknąłem: „ – Eche". I było w tym dokładnie tyle, ile mówi słownik: prawie nic. Nie wiedziałem, co powiedzieć. „Nasze mieszkanie" – nie powiem, brzmiało to wcale miło: „Nasze mieszkanie w Nowym Jorku". Lecz w głosie Artura nie blichtr głupiej sławy brzmiał. To było coś innego: wszelkie pocieszenie.

Artur uśmiechnął się jeszcze – do mnie, do siebie albo do własnych słów – i już bez słowa wtulił głowę w poduszkę.

Może zasnął kamiennym snem robotnika rannej zmiany (o czwartej trzeba wstać), a może pieścił jeszcze pod powiekami wspomnienie słów przebrzmiałych – nie wiem.

A gdybym wtedy – w tej rzadkiej chwili, która później nie mogła już się powtórzyć – zapytał, gdybym spróbował. Może dowiedziałbym się niejednego. Może nawet i tego, co kryło się za zagadkowym zdaniem z listu od chłopców, jaki czytaliśmy jeszcze w Polsce: „On zwariował chyba; ciągle chce tylko wracać do Polski"?

Nie mogłem zasnąć. Nie mogłem zebrać myśli. Nic nie mogłem.

***

Następnego dnia wynieśliśmy się stamtąd. Nie zabrało nam to wiele czasu; my przecież nie zdążyliśmy nawet rozpiąć naszych plecaków, a i Krzysiek z Arturem – choć byli tu już od miesiąca – żyli tu dotąd też właściwie cały czas na walizkach. I ruszyliśmy w samodzielność, dziękując na wyjściu za pomoc okazaną przez znajomych znajomych.

Upalny, słoneczny i parny dzień. Rozgrzane czarne foliowe worki – zwykły w tej dzielnicy zapach żyjącej wraz z ludźmi ulicy. Powietrze lepkie i gęste. Pociłem się w tym skwarze nieziemsko; wciąż miałem na sobie te same ciuchy, w których kiedyś – w pewien październikowy, jesienny, chłodny już dzień – wyjeżdżałem z Polski za Wielką Wodę („Na razie nie ma sensu się przebierać, dopiero w domu – jak już będziemy na miejscu"). W nietutejszych ciuchach targałem swój bagaż po tutejszym bruku – naprawdę nowojorskim. Pastelowe, spłowiałe kolory w witrynach malutkich sklepów. Przed sklepikami tymi kręcili się niemrawo jacyś ludzie – tutejsi wydeptywacze tutejszego trotuaru. Niektórzy ściskali w dłoniach owinięte szarym papierem puszki i pociągali z nich od niechcenia.

– *Badłajzer*. Tu, na *portoryku* wszyscy to piją. Najbardziej syfiate piwo, dla narkomanów... – powiedział ten, co to wie już więcej niż nic. – Zresztą tam gdzie będziemy mieszkać też jest *portoryko*.

W witrynie jednego ze sklepów – polskie napisy. Wśród nich informacja: KŁODRÓW NIE ROZMIENIAMY. Skręciliśmy za róg, do metra.

– Gdyby pójść dalej prosto, to dojdzie się na Greenpoint, do polskiego getta. A na drugim końcu Bedfordu, za *portorykiem*, jest *żydowo*: prawdziwe Żydki, z pejsami, nawet dzieci.

Otoczone metalową, pomalowaną na burą zieleń barierką schody sprowadziły nas w głąb, pod chodnik, do *sabłeja* – pod ziemię. A spod ziemi wiało chłodem. Zeszliśmy w półmrok i zapach się zmienił. Po peronie roznosiła się chyba nigdy nie wietrzona zawiesina potu, moczu i brudu. Oddech nowojorskiego podświata, który nigdy nie widzi światła dziennego. To się chyba nazywa „underground".

Po chwili w ciemnościach tunelu zaświeciły halogenowe ślepia, po czym zatrzymała się przed nami srebrno-stalowa gąsienica transportu podziemnego.

– To nasz. Wsiadamy.

W wagoniku od razu poczułem przejmujący chłód, wręcz ziąb. Klimatyzacja. Kilka metrów ponad nami upalne lato, a tu – na rękach gęsia skórka.

– This-is-Bedford-Avenue-the-next-stop-will-be... – przemówił duch zawiadujący tym całym podziemnym światem.

– To tylko kilka stacji stąd, zaraz wysiadamy – wpadł mu w słowo Krzysiek.

– ... stand-clear-off-the-closing-door. – Duch powiedział do końca, co miał do powiedzenia.

Chropawy świst samoczynnie zamykanych drzwi, szum odjeżdżającego w tył peronu i rozświetlona białym światłem gąsienica rzuca się w ciemne korytarze. Po chwili – następny peron, i znowu ta sama rutynowo troskliwa prośba: stand--clear-off-the-closing-door, i tak dalej, aż wreszcie wjeżdżamy na naszą stację: this-is-Montrose-Avenue...

Na peronie ten sam chłodny smród, a na powierzchni ten sam lepki upał i pastelowa woń czarnych foliowych worków. Po chodniku prosto, obok wysokiej metalowej siatki, za którą leży pusty plac, potem w prawo, koło sklepiku w lewo i już jesteśmy na Meserole Avenue – tu od dzisiaj ma być nasz dom.

Na chodniku stoją grupkami albo w pojedynkę, palą papierosy, pocą w rękach owinięte w szary papier puszki, albo trzymają po prostu ręce w kieszeniach. Podpierają ściany kamienic albo siedzą wprost na chodniku. Czasami któryś się zaśmieje – po hiszpańsku. Nie wyglądają na takich, którzy narzekaliby na swój los. Żadnego wyrzutu. W ich oczach – nie ma nic. Poza blaskiem oślepiającego słońca. Upał. Portoryko.

Do kamienicy prowadzi szeroka brama, niegdyś pomalowana była zapewne na jakiś kolor, ale teraz pozostała z tego jedynie bardzo głęboka szarość. Ponad wejściem tablica z numerem: 171, za bramą – raptownie chłód i półmrok. Upalna jasność ulicy – daleko za nami.

Gdy kiedyś – dawno temu, w kraju, gdzie paszport należał do abstrakcji – na lekcjach geografii podawano do wierzenia, że Ameryka jest krajem kontrastów, nie chodziło wtedy o próg brooklyńskiej bramy przy Meserole Avenue, bo chodziło o abstrakcję – nie o konkret. Podróże kształcą: abstrakcje w konkret, konkret – w banał.

Posadzka w sieni niegdyś może kremowo-bordowa, albo nawet biało-karmazynowa, teraz pokryta kurzem nie do zmycia szara była nieodwracalnie. W szarym powietrzu wnętrza unosił się zatęchły, półwilgotny zapach prania. Od

schodów w półmrok sieni padała bezwładnie poświata dnia – przemknęła się chyba cudem przez matowe od niemycia szyby okien na półpiętrach. Pod parapetem, w nierównej aureoli światła – paczka po wypalonych papierosach. Marlboro. Z góry doszły nas jakieś śmiechy i słowa angielsko-hiszpańskie. To umorusane urwisy bawiły się w coś, co jest chyba – a przynajmniej miało być – meczem baseballa, na najciaśniejszym i najciemniejszym boisku świata.

Wreszcie stanęliśmy przed brązowo-burymi drewnianymi drzwiami. Numer 27.

– To tutaj – usłyszałem słowa, a zaraz potem uroczysty, chropawy szczęk zamka. – Prosimy do środka.

Zaraz od progu – pokój. Duży, kwadratowy. Gdyby nie okrągły stół i cztery siedziska, można by powiedzieć, że zupełnie pusty. Dalej na wprost przejście do kuchni, za kuchnią – łazienka. W przesmyku między kuchnią i łazienką – lodówka wielka jak szafa. Na razie pusta. Do tego jeszcze dwa pokoje, mniejsze, w każdym po jednym materacu.

– No i jak? Na razie spać będziemy po dwóch na jednym materacu. Mamy lepiej niż tamci na Grand, bo pokoje nie są przechodnie, lepszy rozkład. Tyle że widok z okien mniej ciekawy niż tam – nie widać stąd Empire State Building.

Z dużego pokoju, który miał być zarazem przedpokojem i bawialnią, salonem przyjęć i stołówką, okna wychodziły na studnię między naszą i sąsiednimi kamienicami: na samym dnie stare pordzewiałe rupiecie i kosze, z których kipiały w upale czarne foliowe worki, ponad nimi rozpięte między ścianami sznurki na pranie, a najwyżej – niebo: bezchmurne, błękitne, czyste, nieosiągalne.

– A jaki tu był syf! Szkoda żeście nie widzieli. Ile myśmy się namordowali, żeby to jako tako odczyścić.

Z pokojów z materacami okna wychodzą na tę samą stronę – na ulicę, rozgrzaną słońcem i pustą. Faktycznie – ani śladu Empire…

W całym *apartmencie*, poza delikatną wonią środków czyszczących, nie czuć żadnego zapachu. Egzystencjalnie wysterylizowana mieszkalnia. A na suficie – niech was to nie dziwi – stiukowe zdobienia jak w pałacu. Cicho.

Krzyśkowi udało się uruchomić – „No, dawaj. Nie rób mi tego!" – zorganizowany skądś, rozlatujący się nadajnik. I roz-

brzmiało się. Hipnotyczny, porywający rock'n'roll: „it doesn't have to be old to be classic – just great rock'n'roll: ninty-two--three – K-Rock!"...

– No, to – jesteśmy w domu!

***

Zabraliśmy się do oswajania tego pustego wciąż – choć rozbrzmiewającego muzyką – miejsca. Nad drzwiami między salonem a kuchnią powiesiliśmy biało-czerwoną flagę, tak że widać ją było już od progu. Na drzwiach – od strony zewnętrznej, tam gdzie zwykle widnieje wizytówka – przykleiliśmy nalepkę z pewnego coffeshopu w Amsterdamie, gdzie zaledwie rok wcześniej mile spędzaliśmy czas.

– Od razu musimy sobie powiedzieć wyraźnie, że tu nie będzie i nie może być tak jak było w Holandii. Tam pojechaliśmy na wakacje, a tu – po pieniądze. Tam się bawiliśmy, tu – będziemy po prostu żyć. Nie tydzień lub dwa, ale cały rok – przynajmniej.

Nalepka z niegdysiejszych, miłych wakacji nie była w stanie tego powstrzymać. Do naszego domu wchodziło to, co dość oględnie nazywa się prozą życia. Nalepka nie mogła być zobowiązującym symbolem, nie miała w sobie tej magicznej mocy odpędzania złego, a może jej moc *po prostu zwietrzała z czasem*. Tak czy owak, nalepka była w końcu tylko nalepką, a życie – tylko życiem.

– W Holandii mieliśmy komunę i to był fajny odjazd. Wszystkie pieniądze, jakie zarobiliśmy, wspólnie dzieliliśmy po prostu po równo. Tu coś takiego nie miałoby najmniejszego sensu. Będziemy musieli załatwić to jakoś inaczej. Na razie nie wiadomo za bardzo jak, ale to pewno samo wyjdzie – z czasem.

Zasiedliśmy do wspólnego stołu. Zjedliśmy co nieco – wszystko było z papieru, nawet jabłka – i w końcu mogliśmy się razem napić.

No! To pod to, że wreszcie tu jesteśmy. Oby nam się... – i chlup.

Polski spirytus rozcieńczaliśmy amerykańską colą, tak że trudno było stwierdzić jednoznacznie, gdzie, po której stronie oceanu, był bar. Na stole leżały przywiezione z Polski

papierosy, ale obok nich pojawiły się już te tutejsze, amerykańskie – Artura i Krzyśka.

– No, a jutro – impreza. Na dobry początek... Za wasz przyjazd, za mieszkanie i w ogóle... Przyjdzie parę osób.

***

Ciągle jeszcze nie byłem pewien, nie chciałem być. Może to wszystko nieprawda. Przecież nie tak miało być. Miało być inaczej, ale – nie gorzej. O co tu chodzi? Może ci ludzie – może oni mi to powiedzą? Może powiedzą, gdzie jestem i o co tu chodzi...

Kiedy nadszedł czas – przyszli. Nie licząc jednej, zdobycznej, Amerykanki – sami Polacy, ale już tubylcy.

– No-no, całkiem nieźle jak na razie... – powiedział jeden, nie rozglądając się zbyt wnikliwie po mieszkaniu. Przezorny.

– So: what's your first impression about New York? – powiedział inny i nie zraziło go wcale, żeśmy mu nie odpowiedzieli, zdziwieni, dlaczego nie mówi do nas po polsku. Amerykanin – *in statu nascendi*. Czyli nowojorczyk.

– To ten od tej Amerykanki – szepnął Krzysiek wskazując spojrzeniem na dziewczynę. – Miła dziewczyna.

Wkrótce wszyscy zaczęli mówić po polsku – bardzo po polsku. Zdobyczna Amerykanka uśmiechała się uroczo, jedynie domyślając się, o czym tu się rozprawia. Wszyscy mówili o pieniądzach. Nie o tych, które mieli – to są te pieniądze, o których dżentelmeni nie rozmawiają, ale o tych, które dopiero mogą tu mieć – to są te, o których rozmawiają Polacy w Nowym Jorku. Drugi etap w drodze do raju. Pierwszy miał miejsce tam, w Krakowie pod konsulatem – tam mówiło się tylko o tym, jak zdobyć wizę. Ci, którzy przeszli eliminacje wstępne, teraz siedzieli tu, w naszym domu, i znowu ostro główkowali, tym razem już o czymś konkretniejszym – o pieniądzach. Jak je zdobyć, jak dać sobie radę z drugim etapem?

Myśli wszystkich – a może tylko słowa – wyrywały się ku przyszłości. Uskrzydlone nadzieją, zuchwałością, wiarą we własne siły, wreszcie alkoholem i desperacją – przelatywały szybko ponad marną teraźniejszością i szybowały dalej: ku wspaniałej wizji przyszłości. „Dla takich ludzi więzienie to nic

innego jak tylko najpewniejsza droga do przyszłej wolności" – nie mogłem tak jak oni oderwać się od ziemi, brakowało mi ducha. A gdy już poderwałem się, poleciałem w kierunku zgoła przeciwnym do jedynego właściwego, bo wstecz – do tego, co zostawiłem tam, gdzie już mnie przecież nie było... Nie potrafiłem jeszcze myśleć jak Polak w Nowym Jorku: wytknąć sobie cel, dążyć do niego i nie oglądać się na boki, a tym bardziej już – za siebie. Siedziałem jak oniemiały pośród tych ludzi wyłącznie z przyszłością.

– Najlepszy sposób na to, żebyś zarobił *megabaksy*, to dać ogłoszenie do gazety, że masz na to niezawodną receptę, którą odstąpisz każdemu, kto cię o to poprosi dołączając do prośby głupie pięć dolców. Tysiące ludzi pójdzie na to, a ty zgarniesz szmal, odpisując im uczciwie: „zróbcie to, co ja zrobiłem".

– No, ale ten numer już chyba nie przechodzi...

– A ty myślisz że co, że jakby przechodził, to bym ci o nim powiedział? Ha, ha... – Serdeczny śmiech człowieka uczciwego. – Teraz trzeba wykombinować coś bardziej cwanego.

A na razie, póki się tego nie wykombinuje, trzeba tyrać na czarno za te pięć czy siedem dolców na godzinę. Ale to tylko „na razie", póki nie trafi się coś lepszego. Impreza dobiegała kresu. Goście zaczęli się rozchodzić. Każdy do siebie. Muszą odpocząć po ciężkim tygodniu pracy. Niech przyśni się im coś pięknego, zanim nie zacznie się następny poniedziałek.

– No, to – na razie!

– Na razie.

– *Take care* – powiedziała Amerykanka.

I znowu pozostaliśmy we własnym gronie. Nowy Jork został tam – za drzwiami. A tu było jeszcze co nieco do wypicia.

– W poniedziałek (czyli pojutrze) musicie pójść poszukać sobie pracy. Możecie spróbować *w kranikach*, pracowałem tam przez kilka dni, ale facet jest powalony i kiepsko płaci. Możecie też pójść *na żydowo*; czeka się po prostu na ulicy, czasem podjedzie jakiś pejsaty i zabierze paru do roboty – czasem można nawet trafić *ful-tajm-dżob*. Możecie też spróbować u takiego jednego Polaka, który sam poszuka wam pracy. Jeśli znajdzie, musicie mu za to oddać pierwszą tygodniówkę. Możecie też próbować na własną rękę. Jak sami widzicie: jakieś możliwości są...

Alkohol robił swoje. Zawirowało w głowie że aż: ach, co tam! Przecież Nowy Jork jest dopiero za drzwiami. I nic nie było już ważne. Skończyły się poważne rozmowy, i zaczęliśmy tak sobie paplać o byle czym – o życiu w ogóle. Bezinteresownie.

– A na przykład ci, co tu byli. To kiedyś byli wielcy kumple, przyjaciele. Razem tu przyjechali – dwa lata temu. Dwóch postanowiło zostać, a jeden wrócił. Teraz przyjechał tu po raz drugi, a tamtym – już odbiło. Teraz patrzą na siebie bykiem. O pieniądze im poszło – jak nic. Tak, tu naprawdę śruba się przykręca... A ten jeden to żeni się z Amerykanką – będzie miał *grin-kard*. Wielki pan...

Ciekawa historia, choć w sumie – co nas to niby może obchodzić?

Chodźmy lepiej już spać.

***

Odlatuję z Nowego Jorku! I znowu jestem u siebie. Drewniane drzwi do klasy, w ławkach koledzy z lat szkolnych, z podwórka i ze studiów. Za oknem pierwsze wiosenne promienie słońca, ktoś mówi, że i tak jest jeszcze przed trzynastą. Gramy, w karty chyba. Choć wygląda zupełnie inaczej, i tak wiem, że ten naprzeciwko to mój stary kumpel ze studiów, na których byłem albo będę – karta mi chyba nie idzie. Za moimi plecami, niewidoczna, ale wiem że tam jest, dziewczyna o której wiem już w czasie przeszłym, że za dwa lata bardzo ją pokocham. Wiem też, że wróciłem już stamtąd, dokąd jeszcze wcale się nie wybieram. Wszystko jest takie znajome i takie swojskie. Na wylot – wte i z powrotem...

Gdy się obudziłem, przez okno znowu wpadał do pokoju dzień, znowu bardzo gorący i parny. Zabrało mi chwilę, zanim pojąłem, że obudziłem się dokładnie w tym samym miejscu, w którym poprzedniego, dziwnego wieczoru położyłem się spać – w Nowym Jorku, gdzieś na Brooklynie.

Wszedłem do salonu – chłopaki już nad śniadaniem.

– Znowu mi się śniło, że wracam do Polski – rzucił jeden sponad stołu. – Co za bezsens. Kurwa mać.

Niektórzy po to tylko tu przybywają: zobaczyć żywioł. Nieopanowane, bezsensowne nawet, drżenie życia. Turyści – to oni. Przyjeżdżają tu na parę chwil, ponapawać się widokiem niesamowitym. Oni są tu jednak tylko na niby – bo w kieszeni mają przecież cały czas bilet powrotny. Gdyby zostali tu dłużej, zobaczyliby może to, co nie jest dla turystów. Że żywioł wcale nie jest taki spektakularny. I że nie jest on zwiastunem żadnego Wydarzenia – że jest jedynie zwykłym rytmem Miasta, w którym niezwykła jest może tylko nudna, beznadziejna monotonia ciągłych zmian.

Zanim jednak turysta to dojrzy – już go tu nie ma. Bo albo wyjechał, albo przestał być turystą.

– Dzisiaj jest na Manhattanie parada Pułaskiego. Idziemy?

– Nie chce mi się... – odpowiadam, choć pytanie było nie tylko do mnie. Pytanie było w ogóle.

– No przestań, kiedyś i tak będziesz musiał stąd wyjść. A zresztą, nie – to nie, twoja sprawa.

– Nie, nie pójdę. Chyba mam kaca – powiedziałem i faktycznie można było to tak nazwać: mętlik w głowie, doskwierające niezorientowanie i brak chęci.

Zostałem sam. Nie chciałem iść tam: do Miasta. Na razie nie – ale jak długo jeszcze? Kiedy zamknęli za sobą drzwi, od razu siadłem nad papierem. Zacząłem pisać. Próbowałem o tym wszystkim opowiedzieć w miarę składnie i jasno. Ponad siły! Pisałem i paliłem. Suchość wypalonego gardła zwilżałem colą, znowu zapalałem papierosa, znowu pisałem – i znowu nieudanie. Kartka za kartką zapełniały się zdaniami próbującymi utrafić w samo sedno – wszystkie chybiały jednak celu. Wreszcie zmęczony próbami zdecydowałem, że ten pierwszy, ważny list mam już za sobą – zacznę pisać od razu od drugiego.

Wrócili po kilku godzinach.

– Wiesz, że Szymon tu jest? Spotkaliśmy go – przypadkiem.

(Jaki znowu Szymon?)

– No ten, z Kazimierza. Nie pamiętasz?

– ...

(Dawno, dawno temu, jeździliśmy stopem po Polsce. Turystyka niezorganizowana. Ciągle w drodze. To było coś. A może było to tylko miotanie się w chaosie zamknięcia, bez-

sensowna pogoń za nie wiadomo czym? Może – ale było fajnie. Spotykaliśmy wtedy wielu podobnych nam sezonowych włóczęgów. Gnać przed siebie, oczy nażreć nowymi widokami – aż do przesytu. Pozierać na różnych ludzi, po czym znowu gnać dalej, przez nowe obrazy i nowe twarze. Poznawaliśmy świat, który zaraz opuszczaliśmy – byle dalej, byle więcej.

Szymon... Szymon... Ach, faktycznie, zdarzyło się.)

– Ach, ten! No, popatrz: świat jest taki mały.

(Lecz teraz nie było już tak jak dawniej. Nie byliśmy w drodze, byliśmy na miejscu. I nie dało się nigdzie wyjechać. Trzeba było żyć, a nie podróżować. Zwyczajnie, nie przygodowo, lecz – prozaicznie. *Navigare necesse non est – vivere*...)

***

– Słuchajcie, może przyjęlibyście go do siebie, na parę dni dosłownie? On niedługo wyjeżdża do kraju... – zapytał nas na odchodnym ten od Amerykanki.

– A kto to jest?

– Taki jeden. Artysta. Niezły. Mieszkał jakiś czas u mnie, ale teraz, kiedy przyjechała do mnie dziewczyna... No, sami wiecie...

(Zdanie grzęźnie w wielokropku)

– No dobra, nie ma sprawy!

(I nic więcej już mówić nie potrzeba. Sprawa załatwiona)

Tak przyszedł do nas Tomek. Uśmiechnięty. Całkiem nieźle potrafił się uśmiechać. To nie był uśmiech głupkowaty, to był uśmiech profesjonalisty. Zawodowiec, stary wyga, doświadczony w Ameryce. A z drugiej strony my, tuszujący niepewność hałaśliwym śmiechem, udający zuchowato, że wszystko jest pod kontrolą, gdy nic nie było pod kontrolą.

Tomek przyjechał do Stanów rok temu. Tomek teraz wybiera się z powrotem do Polski. Między tymi dwoma zdaniami jest to, co najważniejsze.

– Panowie, powiedzmy sobie szczerze i otwarcie: wszyscy jesteśmy ofiarami mitu. My wszyscy, skoro już tutaj jesteśmy... – powiedział słowa, które ogarnęły mnie, ścisnęły i już nie puściły. To jedno zdanie: *Wszyscy jesteśmy ofiarami*

mitu – skoro już tu jesteśmy... Zdanie-zagadka a równocześnie – zdanie-busola i zdanie-kotwica.

Tomek mówił o tym, co jest za oknem, za drzwiami, co jest wokół, wszędzie tam, gdzie słowa stają się ciałem, gdzie trwa konkretem Nowy Jork. A równocześnie wszystko co mówił brzmiało jeszcze abstrakcyjnie, nierzeczywiście.

– Na razie może tego tak jeszcze nie widzicie, ale po jakimś czasie może...

PRZEDMIEŚCIE

To było *naprawdę dziwne*: nie byliśmy ani turystami, ani tubylcami. Podróżnicy w pół drogi. *Cudzoziemcy*. Na przedmieściu, przed drogą – do Miasta. Które było dalej niż kiedykolwiek.

> Przedmieście to dziwne miejsce – niby w mieście, a jednak nie. Równocześnie jednak miasto bez przedmieścia to tylko jakby miasto, to byt niezupełny i przez to nie do końca realny, nie do końca prawdziwy. Przedmieście to metafizyczny cień, jaki rzuca za siebie miasto, to jego druga, często ciemniejsza strona. Równocześnie przedmieście to nieodzowne tło miasta, drugi plan, bez którego obraz miasta pozostać by musiał płaski – taki akurat jak na pocztówkach: niepewny i metafizycznie podejrzany – bo płaski.

Mówią, że na przedmieściu nic się nie dzieje. „Na przedmieściu nic się nie dzieje" – mówią turyści, bo tak mówią turystom. Dla turystów jest Miasto, a nie przedmieście, bo przedmieście to już nie Miasto. Turyści odwiedzają Miasto; wpadają do niego na chwilę, mimo wszystko i jakby ponad wszystkim, by rozerwać się i mile spędzić czas. Oglądają to, co wystawione jest na ich widok, ustawiają celowniki aparatów fotograficznych na to, co przemysł turystyczny specjalnie na ich strzał wystawia – polują sobie, dla przyjemności. To, co potem stąd wywożą jako *pamiątkę z Miasta* nigdy nie jest już *życiem Miasta* – zresztą to coś często życiem Miasta nigdy naprawdę nie było. Lecz przecież nie o prawdę tu chodzi, a o to by coś się działo. Przyjemnie jest być turystą – być trochę nieprawdziwie.

The New York Non-Sight Seeings
New York 1990

Płatny azyl naszego mieszkania – 500 dolarów za miesiąc – zrazu urzekł mnie swoim pozorem eksterytorialności. Lecz pozór ten był przecież jedynie prowizoryczną fikcją, kruchą jak sen. Bez względu na to, jak bardzo chciałbym schować się wtedy przed światem, było to niemożliwe – bo ja w tym świecie przecież byłem, po uszy w długach, bez grosza przy duszy i w ogóle nie wiadomo gdzie – ale byłem. Trzeba było z tego wyjść – najpierw z fikcji, potem z długów...

– Musimy pójść do sklepu, po jakieś żarcie. Pytałem już *supra* (no, wiecie: od angielskiego „supervisor", czyli ciecia po prostu); sklep jest niedaleko. Łatwo trafić: z bramy w prawo, do głównej ulicy, potem w lewo i cały czas prosto. Sklep nazywa się „Big R" i naprawdę jest wielki – nie sposób nie zauważyć. W tych małych *graciarniach* wszystko jest dużo droższe i w ogóle mało co tam jest: jajka, mleko, papierosy, podłe piwo i *that's it*.

Małe „grocery" pod domem to tylko namiastka sklepu – punkt spożywczej pierwszej, doraźnej jedynie pomocy. A nam trzeba było prawdziwych zakupów. Trzeba wyjść – wychodzimy.

W końcu jeść coś trzeba, a przy okazji – zobaczyć można okolicę. Niby tylko mimochodem, trzeba przecież wyjść – tak czy owak.

Wyszliśmy. W upalny dzień, do sklepu.

Naprzeciwko kamienicy, której część wynajęliśmy dla siebie – kamienica dziwnie do niej niepodobna; z podobnej cegły, w podobnym stylu, nawet podobnie szara, a jednak niepodobna. Na nią bowiem padł już cień czasu – wymarła i opustoszała. Podczas gdy nasz budynek był jeszcze wciąż jedynie przygnębiający, jedynie chylący się do upadku, ale jeszcze nie upadły, tamta stała już bez życia, już w cieniu bezpowrotnej, ciemnej przeszłości, której nikt wspominać nie będzie. Na skwar i duchotę słonecznego dnia wystawiała już tylko szczątki tego, czym kiedyś była. Kręcili się przed nią jacyś ludzie, tutejsi tak samo jak i ona. *Super* – Polak skądinąd – poradził nam, żeby trzymać się od nich raczej z daleka: „ – Oni żyją tu na zmarnowanie. Czuć od nich śmiercią". Ulica dzieląca nas od nich była wąska, a rada nam dana – prawdopodobnie słuszna. Poszliśmy swoją drogą, drugą stroną chodnika, gdzie nie padał teraz żaden cień.

– Najważniejsze to niczym się nie przejmować. Niczym się nie przejmować i mieć wygodne buty – jak to mówił kiedyś taki jeden. Albo jak to śpiewają *dorsi*: „take it easy baby, take it as it comes". No, wiecie o co mi chodzi – *you-know--what-I-mean* – powiedział Krzysiek, który był tu, nie wiadomo gdzie, już od z górą miesiąca. Podobnie jak Artur.

Mieli nad nami – Piterem i mną – przewagę miesiąca. Lecz czy ten miesiąc to „aż", czy „tylko" miesiąc? Czy ten miesiąc to dość czasu, by zrozumieć – ba!: by innym móc wytłumaczyć, tym, którzy jeszcze nie rozumieją – tego chyba nawet oni nie byli pewni. Starali się jednak swojej niepewności nie okazywać; starali się być *cool* – tyle przynajmniej już zrozumieli, podczas gdy ja dopiero raczkowałem nieporadnie w stronę zrozumienia, co znaczą te słowa: być *cool*. Tomka, tego, który Amerykę miał już prawie za sobą i rozumiał z niej pewnie niejedno, nie było z nami. Pojechał załatwiać jakieś swoje sprawy na Manhattan, bardzo daleko stąd, bardzo daleko od przedmieścia, najdalej może.

– Jakby człowiek chciał się tu tak wszystkim przejmować, to mógłby od razu zupełnie ześwirować. Raz, kiedy pracowaliśmy na Bronxie (zakazana dzielnica, same czarnuchy), zrobili nam przerwę na posiłek. Szef mówi, że będziemy jedli na zmianę, i że teraz mamy iść my: ja i Artur. A tu jeden mówi do niego: „Jak to? Oni sami mają *tam* iść?", i zaraz dodaje: „They cannot FIGHT!". Powiedział to tak sobie, jakby chodzi-

ło o rzecz zupełnie normalną. Że niby co? – że jak wychodzisz tu na ulicę, to od razu będzie mordobicie? No mówię wam, mało się nie posrałem ze strachu…

Wielokropek – psychiczny *speed breaker*, tłumiący porywającą człowieka ekscytację.

… i już: koniec opowieści. To się zdarzyło Krzysiowi, kiedy tu przyjechał, kiedyś, daleko już od dzisiejszej chwili. Teraz próbuje być już opanowany. Już opanował go miejscowy obyczaj. W tonie jego głosu pobrzmiewa już ten swoisty, dziwny ton: że niby nic się nie dzieje, że tylko tak sobie opowiadamy – różne ciekawostki bez znaczenia.

Patrzę na Artura. Ten nic nie mówi, uśmiecha się tylko, lecz w tym uśmiechu jest to samo, co tonuje głos Krzyśka: wysiłek, by ewentualne przerażenie umieć natychmiast zamienić w chłodne stwierdzenie faktu, że świat nie jest bułką z masłem. Po pewnym treningu może to przychodzić już bez wysiłku, mimowolnie. Trening czyni mistrza. A mistrzem jest Bogart.

Albo któryś z tych, co stoją sobie teraz tam, pod kończącą się kamienicą i w blasku słonecznego dnia – jak gdyby nigdy nic.

Krzysiek z Arturem starają się. Oto orędownicy jak najszybszego przyzwyczajenia; śpieszą się, by czym prędzej przejść już to, co konieczne: mieć to już za sobą – inicjację. Próbują być tu jakby od zawsze i aż do znudzenia; nic ich niby nie obchodzi i nic nie dziwi, jakby żadnej inicjacji nie było, albo była tak dawno, że już jej nie pamiętają. Jeśli są w tym nieco niezgrabni – trudno, to przecież nie jest takie proste. A jeśli kłamią – to co z tego? Ich kłamstwu patronuje Anioł Życia, lub tylko szeregowe Demony Przeżycia, przysłane tu przez diabła, któremu osobiście pokwapić się nie chciało – co za różnica? Tak czy owak – życie przede wszystkim.

A jeśli mi w tej chwili chodzi tylko o tę jedną, faktycznie niepowtarzalną może chwilę: przeżyć dogłębnie i zapamiętać niezwykłość inicjacji, rozsmakować się jej niepojętą tajemnicą, to czyim podszeptom ulegam i czym ryzykuję? Muzie literatury, która tutaj nikogo nie obchodzi – w życiu, które obchodzi się bez literatury? A może najzwyklejszej Głupocie?

Tak, w tych okolicznościach to oni mają rację, nie ja. Przez przedmieście trzeba po prostu przejść, jak najszybciej,

a nie – jak ja – próbować robić z tego literaturę. Przynajmniej nie teraz. Może kiedyś, ale na razie – nie.

W końcu deptaliśmy jak najzwyczajniej po najzwyklejsze żarcie. I to wszystko. Dlaczego więc ssał mnie od środka zupełnie inny głód. Co z tego? – co z tego że to moje pierwsze wyjście na ulicę? Kogo to tutaj obchodziło. Żarcie to żarcie. Kropka

A jednak… ssało.

Monstrum nie z tego świata, niewidoczne i prawie nie istniejące, sączyło we mnie swój nieżyciowy jad. „ – No, proszę. Oto okazja pierwszej chwili. Wykaż się. Wykaż się refleksem refleksji. Spróbuj.” – szeptało coś we mnie głosem niesłyszalnym. „– Dojrzyj na czas to, co następnego dnia może stać się już zaledwie nudną codziennością, w której zdziwienie jest czymś niebywałym. Chwyć się czegokolwiek, najdrobniejszego nawet szczegółu – i zawieś na nim swoją opowieść człowieka zdziwionego. O, tam na przykład: ponad ulicą ktoś rozpiął kiedyś sznury, a na nich jakieś ni to lampki ni to wstążki (trudno dojrzeć, bo razi słońce)”.

Podniosłem wzrok ponad ulicę. Cokolwiek to było, nie wyglądało to-to zbyt świeżo. Dopadło mnie, patrzącego na to nie obojętnie, poczucie pastelowe, akurat pod kolor płowiejącej w słońcu szarej ulicy: melancholia. Dopadła mnie ta melancholia, której ofiarą pada ktoś, kto spóźnił się na wielki, kolorowy festyn i komu – gdy wpada na plac opustoszały po niegdysiejszej już zabawie – pozostają jedynie smętne resztki: płowiejące i zapadające się w szarość pozostałości przebrzmiałej już uciechy, po której nie znalazł się nikt, komu by się chciało to wszystko, co zostało, posprzątać.

Popatrzyłem na ludzi, jakby to oni mogli mi poopowiadać o przeszłości, na którą się spóźniłem a która mogłaby stać się kluczem do sensu teraźniejszości. Wszystko na nic. Może oni tak samo jak ja spóźnili się na ten ubaw. A może byli na nim, tylko że teraz już nie potrafią sobie tego przypomnieć. Jakby to było w innym świecie, w innym życiu. I szarzeją tu sobie. Słońce, nieśpiesznie ale konsekwentnie, wysysa resztkę barw z dyndających ponad ich głowami resztek po Wielkim Wydarzeniu, a ich wypala od środka ociemniała pamięć.

A może nigdy nie było tu żadnego Wydarzenia? Może wszystko od zawsze jest tu takie pastelowe, sprane, zużyte, od początku wczorajsze? Może naprawdę nie ma tu o czym opowiadać? Bo wczoraj nigdy się tu nie wydarzyło?

– Ci portorykosi chyba naprawdę nic nie robią. – Krzysiek odważnie brnął w rolę przewodnika. Jednak i on chciał coś powiedzieć o tym, o czym nic sensownego powiedzieć się nie da.

Samo mi się pomyślało: Nie, to na nic – w tych warunkach każda opowieść byłaby zbyt dużym oszustwem (nawet w literaturze tak kłamać nie wypada). Na tym, co tu widać nie można osnuć żadnej opowieści. Bo na tym przedmieściu faktycznie nie dzieje się nic takiego, z czego dałoby się ułożyć historię. To przedmieście nie ma historii. To przedmieście to nieruchome zawsze teraz, tu wczoraj od razu staje się ciemnością. To wszystko tu to tylko wielkie, w sposób przerażający prawie niezauważalne oszustwo, że wczoraj nigdy się nie tu wydarzyło.

Sławni na cały świat Amerykanie, pędząc zawsze do przodu i nie tracąc ani chwili, mawiać zwykli, że „tomorrow never comes"; że wszystko trzeba zrobić dziś. A tutejsi, niesławni Amerykanie jakby wręcz przeciwnie; nigdzie się nie śpieszą i nie żal im wcale straconego czasu, jakby mówili że „yesterday never happened". A jeśli tego nie mówią, to tylko dlatego, że im się po prostu – nie chce.

To przedmieście można próbować co najwyżej opisać – ale nie opowiedzieć. To nic. To nic, że opisy traktowane bywają przez wielu jako zapchajdziury w nudnych opowieściach – opowieściach poronionych, w których autor próbuje wycisnąć coś z niczego – i nie jest cudotwórcą.

***

No więc – przedmieście bez fabuły. Odwieczne dzisiaj ma tu zapach właśnie co odparowanego prania, zeschłej szarości, której i tak nie da się już doprać do czysta – mijamy publiczną pralnię, w której przesiadują tutejsze kobiety, głównie portorykanki, kręcą się przy nich jakieś dzieciaki. Szare witryny *londromatu*, szare pranie, szare spojrzenia – wszystko wystawione leniwie na upał dnia – przechodzimy obok publicznego odpierania brudów.

Kątem oka pozieram na te twarze, nad żadną z nich nie zatrzymuję się jednak na dłużej. Nie warto. Żadna z nich nie wygląda osobliwie, tylko wszystkie naraz wyglądają osobli-

wie. Patrząc od niechcenia na to wszystko, i tylko na to wszystko, zauważa się, że tutejsi ludzie są tu zaledwie *statystami*. Nie ma wśród nich jednostek, lecz od razu jedynie cały gatunek – znudzony i zarażający nudą. Mogę przejść obok tego obojętnie, lecz obojętność nie uchroni mnie przed tym, obok czego chcę przejść nietkniętym. Obojętność to też przecież nuda. Paradoksalnie, by przejść przez to nietkniętym, trzeba na to popatrzeć – wystawić się na niechybny strzał i cudownie przeżyć śmiertelną nudę. Oddycham tym samym co oni ciężkim i lepkim powietrzem. Mam jednak jeszcze odrobinę zdziwienia w zapasie.

Portorykańskie kobiety. Na tym przedmieściu podobne są do tutejszych kamienic – mają w sobie jeszcze coś z piękności, a równocześnie jakby od zawsze miały w sobie jedynie to: resztkę piękności. Trudno uwierzyć, że był kiedyś czas, gdy były naprawdę piękne. Odwieczna resztka piękności tutejszych kobiet; wystawiony na żar słoneczny, lecz pozbawiony już ognia wewnętrznego, nie ukrywany, lecz nie kokieteryjny, demonstracyjny, lecz już nawet nie wyzywający – leniwy, znudzony i spowszedniały seks. Pozbawiona nie tylko kompleksów, ale również triumfującego, bezkrytycznego samozadowolenia, kobiecość, jaką na tutejszej ulicy widać co krok – nie jest czysta. Jest tylko wyprana – ze wszystkiego. *Sex appeal* tutejszych kiedyś-kobiet to jedynie pastelowa beztroska i znudzone przyzwolenie: niech cała ulica – jeśli tylko zechce tego – patrzy na moje nogi, uda, piersi, ostro wymalowaną twarz, czyli na wszystko, czym tutaj jestem. Te kobiety nie są chyba nawet dziwkami, a jeśli nawet – to co z tego? Who gives a damn?

Obok *londromatu*, pod *graciarnią* jakiś portorykański mężczyzna podpiera ścianę i od niechcenia popija piwo, wodząc niezauważającym wzrokiem po ulicy, której szarość jest najbardziej tutejszą odpowiedzią na nieziemski błękit nieba, tam wysoko, ponad wszystkim..

Gdy przechodzimy obok, facet jakby uśmiechnął się do nas. Tak, tamte dzieciaki pod pralnią i kobiety przed wirującymi bębnami pralek też się przecież uśmiechały. Dziwny jednak jest ten tutejszy uśmiech. Bezinteresowny, ale także i beztreściowy – właściwie nic w nim nie ma, ani życzliwości, ani drwiny. W tutejszym uśmiechu jest tylko to, co widać – i nic ponad to. Uśmiech jest tu tylko uśmiechem.

W ogóle jest tu tylko to, co widać – i nic ponadto. A gdy popatrzy się zbyt wysoko, pod słońce – wtedy nie widać nic. Jest tylko oślepiająca jaskrawość dnia dzisiejszego.

Mijamy kolejne londromaty i graciarnie w wyblakłej mgiełce niegdysiejszej żywotności, której nikt tak naprawdę nie chce już sobie przypomnieć. Tu i ówdzie widać kamienice w końcówce bytu, albo wręcz rudery. Te wyrwy w bycie nikogo tu jednak nie dziwią.

***

W londromacie w pół godziny za pięć czy sześć monet dwudziestopięciocentowych wyprać można kilka kilogramów brudów. Tutaj brudy pierze się w towarzystwie całej ulicy.

W graciarni za trzy monety dwudziestopięciocentowe kupić można puszkę piwa – a piwo to trwać może nawet i godzinę. Tutaj piwo pije się pod sklepem, w bramie, albo siedząc wprost na krawężniku. To jest tutejszy sposób życia.

Tutaj ludzie żyją na ulicy, przed kamienicami, w których śpią tylko czasami – pomiędzy londromatem i graciarnią. Tutaj czas trzeba po prostu – spędzić. A wszystkie pomysły na to, jak go spędzić (przynajmniej te, których prawo nie zabrania), przeliczyć da się na drobne. Tu wszystko odmierzyć można miarką dwudziestopięciocentówek. Przedmieście jest tylko ćwiartką tego, co w całym świecie uchodzi za symbol i wizytówkę wielkiej, wspaniałej Ameryki.

A ja nie mam tu nawet jednej *kłodry*.

– O rany, ale dupa! – Faktycznie, to jest coś. I nie o żadną marną metaforę piękna kobiecego tu chodzi, lecz o monstrualną wręcz dosłowność. Przed nami kroczy kobieta, która właśnie tą częścią ciała zwraca naszą uwagę. Udaje jej się to, co nie udało się tym półnagim kobietom z pralni, nawet tym najmłodszym i najładniejszym: gapimy się jak zauroczeni – i na pewno nie obojętnie.

Przed nami kroczy grubaska. Groteskowy negatyw kobiety brzemiennej. Nie toczy przed sobą cudownej nadziei przyszłego życia, lecz ciągnie za sobą odwłok beznadziei tutejszego życia pomiędzy praniem a jedzeniem. Kategoria superciężka konsumpcji z nudów i dla zabicia czasu.

– To od tych *czikenów* pieprzonych. Żrą je na okrągło, nie wiadomo po co aż tyle – i puchną.

– To już chyba nie jest człowiek, to mutant. No, ale jeśli jada się wyłącznie te śmieci, które sprzedają w graciarniach, a na ulicę wychodzi się po to tylko, by zjeść następnego kurczaka, hamburgera czy hot doga, no to potem nie ma się czemu dziwić.

A jednak nie potrafię, jednak trudno jest mi wyjść ze zdziwienia. To, co widzę jest *ogromnie* dziwne.

Dopóki nie zauważam następnej grubaski, i znowu następnej.

I tak krok po kroku zbliżam się do granicy zdziwienia, poza którą jest już tylko normalność – przyzwyczajenie. I obojętność.

***

Już prawie się przyzwyczaiłem, tak jak każe tutejszy obyczaj: nie tracąc na to niepotrzebnie zbyt dużo czasu przyzwyczaić się jak najszybciej, zobojętnieć, a potem – można się już nigdzie nie śpieszyć. Już wszystko stało się nie tylko zwykłe, ale więcej nawet: jedyne. Już prawie popadłem w obojętność bez pamięci, bez zdziwienia, bez pretensji... I wtedy doszliśmy do sklepu, i dalej: do środka – gdzie indziej...

Kolorowo, wystawnie, bogato. W środku to było: życie. Tu coś się działo – tu działo się kupowanie. Wielkie święto, gdzie zapomnieć można o tym, co zostało tam, na zewnątrz.

– To jest dopiero coś! Nie jakiś drobiazg, ale naprawdę coś! Tu jest – wszystko.

Olbrzymia przepompownia tutejszego życia – serce dzielnicy, zupełnie do niej niepodobne. Do tego serca z całej okolicy, z całego świata, spływają cienkimi żyłkami pieniądze i tu te drobne przetrwalniki życia, zebrane do kupy, zamieniane są w życiodajny pokarm – hurtem. Serce dzielnicy dwudziestopięciocentówek samo nie rozmienia się na drobne; tu krążą prawdziwe, całe dolary – nie jakieś tam pojedyncze kłodry. Ludzie pchają do kasy wózki pełne żarcia.

– Tu dopiero można sobie użyć.

I nasz wózek również wypełnił się po same brzegi. Jedzenia na tydzień. Rachunek: sto osiem dolarów – i jakieś tam drobne. Przy kasie – jeszcze paczka gumy do żucia.

– Dwadzieścia pięć centów – to przecież nic.

Uginając się pod plecakami pełnymi jedzenia i picia wychodzimy z powrotem na przedmieście.

Cud się nie stał – ono tam cały czas było. Wszędzie naokoło.

***

Tuż za progiem sklepu, już na przedmieściu, Artur wyrzuca za siebie kilka monet. A twarz mu ani drgnie. Jakby czekał na reakcję. A mi twarz ani drgnie. Obaj zagrywamy to bardzo *cool* – może dlatego, że upał taki. On wyrzuca świecące w słońcu jednocentówki, bądź co bądź pieniądze jednak, a ja, choć nie mam ani centa – nie pochylam się po nie. I nie pytam nawet, dlaczego on to robi. Biorę na przetrzymanie. I udaje się:

– To nie są pieniądze – mówi po chwili. – Za to nic już nie kupisz. Specjalnie robią tak, by ceny kończyły się 99 centami, bo zawsze to jeszcze nie cały dolar. A potem zabierają ci całego dolara i wydają takie gówniane świecidełko, z którym nie ma co począć.

Powoli coś z tego zaczynam rozumieć, choć niełatwo jest mi pojąć tutejszą oczywistość. Dolar nie dzieli się tu na sto równych części. Cały dolar to poważny pieniądz. Kłodra to kwantum zamrożonej egzystencji, które mieści się jeszcze w granicach tutejszej przyzwoitości, *dajm*, czyli dziesiątak, niby też jeszcze ujdzie, ale od biedy. Cztery kłodry można zamienić w dolara, dziesięć dajmów – też jeszcze. Natomiast sto błyskotek jednocentowych – już nie! Nie wszystko złoto co się świeci. Dlaczego? Bo tak nakazuje tutejszy obyczaj: biednyś bo biednyś, ale nie nędzarz.

W Polsce grosiki zbiera się na szczęście, a tutaj jednocentówki wyrzuca się, żeby nie kusić złego. Żeby nie popaść w *otchłań jednocentówek*.

Ten to ma gest i wie, na jakim świecie żyje, a ja – nie mam ani centa. Na plecach naprawdę ciężkie dolary, jednak już rozbrojone, zneutralizowane do stanu odpowiedniego dla żołądka, który nic nie wie o Wall Street i tych sprawach. Niegdysiejsza siła przebrzmiałych już dolarów rzuca na mnie złowrogi cień, i w tym cieniu uginam się pod brzemieniem losu – dolary, które przeszły oto do krainy niebytu, z którą

graniczy sklep podtrzymujący byt na przedmieściu, obciążyły mój kredyt, powiększyły mój dług, który jest najbardziej przygniatającym rodzajem niebytu na tym świecie.

Amerykańskie miedziaki zostały na brooklyńskim bruku. My odeszliśmy tam, skąd tutaj przyszliśmy. Do domu, który jest początkiem i końcem ulicy.

***

– ... i musimy jeszcze kupić sobie jakieś ciuchy do roboty. Widziałem taki sklep po drodze. Zaraz koło naszego domu, na skrzyżowaniu.

(Ja nie zauważyłem.)

– Naprzeciwko pralni.

(Której?)

Najpierw jednak wchodzimy w półmrok, na końcu którego jest nasz *apartment*. Rozładowujemy plecaki w naszej podróży od głodu do pustego nasycenia. Lodówka wielka jak szafa mieści w sobie wszystko, co jest tu początkiem wszystkiego, i już po chwili – jesteśmy znowu na ulicy.

Sklep, a właściwie to, co zostało nazwane sklepem, jest faktycznie przy skrzyżowaniu. A naprzeciwko faktycznie stoi pralnia. Że ja tego nie zauważyłem, nic w tym w sumie dziwnego. Bo też nie jest to żaden sklep. To raczej prowizoryczny punkt koncentracji rozsianych po przedmieściu ćwierćdolarówek. To „sprzedajnia" szmat, które za ćwierć dolara nazwać można ciuchami. Punkt na rozdrożu, pomiędzy śmietnikiem a sklepem. Wchodzący tutaj sam może wybrać, gdzie przyszedł. Albo wybierze sobie coś, za co zapłaci kłodrę lub dwie – i wyjdzie ze sklepu, albo pokopie w tym wszystkim od niechcenia, tak jak kopie się w bezwartościową puszkę na ulicy – i przejdzie obojętnie obok tego całego śmiecia.

Na poziomie parteru markuje się jeszcze sklep niby z prawdziwego zdarzenia; rzeczy wiszą na wieszakach, co znajduje oczywiście swoje odzwierciedlenie w cenie – są tu ciuchy, które kosztują nawet sześć albo i więcej ćwiartek. Pod podłogą – drugi poziom, mroczny i bliższy śmietnikowi. Tu nawet jedna kłodra coś może.

Chłopcy w podziemnym półmroku przekopują szmaty, coś dla siebie wybierają.

W kącie, pod schodami – stos książek. Leży. Jest. Ponad szczytem podziemnej góry wiruje kurz zapomnienia i wtórnego analfabetyzmu. Nikt z kręcących się pośród tego bałaganu nie zwraca na tę górę uwagi. Zrazu jakbyśmy się jeszcze wahali, czy to wypada, po chwili jednak wkraczamy po prostu na ten stos. Wspinamy się na szczyty literatury amerykańskiej – dosłownie. Steinbeck, Faulkner, Heller, Vonnegut... Spocone przyzwyczajenie Faulknera, absurd Hellera, liryczność codzienności Steinbecka i wypracowany stoicyzm Vonneguta. Wielka literatura i jednorazowe czytadła – wszystko w mroku, gdzie nie ma dość światła do czytania.

Chłopcy wybierają kilka książek dla siebie. Wśród nich i tę: *Don't play dead before you have to*.

– Na tych książkach będziemy się uczyć angielskiego...

... takiego, jakim mówi się w Nowym Jorku.

***

Po obiedzie Artur zbiera do worka swoje robocze ciuchy: – Idę do pralni, jak chcecie, to wam też mogę coś przeprać. – Podczas gdy jutro będzie brudził w swojej „dziurze" (łopata––ziemia–ziemia) jedną zmianę ciuchów, w domu będzie już na niego czekać następna. Od jutra pracować będzie na dwie zmiany – ciuchów. Coś tam dorzucamy do worka Artura, niewiele jeszcze zdążyliśmy zbrudzić w tym Nowym Świecie. Jakoś ujdzie – w tłoku. Po pół godzinie Artur wraca. Już po praniu.

– Jesteście mi winni po dwadzieścia pięć centów. Za pranie.

A jednak nie uszło...

Siedzimy na schodach przeciwpożarowych, które robią nam za balkon. Czyli na *fajerstepsach*. Palimy papierosy. Spędzamy popołudnie na przedmieściu: palimy papierosy.

– O!, popatrz tam – wykrzykuje Krzysiu wskazując przed siebie.

A tam, pod murem wypada z samochodu jakiś facet i rzuca się na innego faceta. Pakuje go na maskę samochodu i zakuwa w kajdanki.

– Tutaj to normalka. Pewnie narkotyki. Tu wszyscy palą ten cholerny *crack*. To coś jeszcze gorszego niż heroina, uza-

leżnia ponoć od strzału. – I Krzysiek znowu jest już spokojny, niezdziwiony, tutejszy. – Jak nie żrą kurczaków, to walą sobie crack. Tumany.

– Ale to wszystko to jeszcze nic. W przyszłym tygodniu jedziemy na koncert, na Manhattan. Kupiliśmy wam bilety, jako prezent: na dobry początek – dodaje Artur.

Palimy papierosy. Spędzamy czas.

Bilet na koncert – dwadzieścia dolców. W tych warunkach to coś nie do pomyślenia. Więc są jeszcze gdzieś inne światy.